

Wszystkie barwy szminki

Przyznaję otwarcie — mawiał, dziś już klasyk pośród burżuazyjnych ekonomistów XX wieku, J. M. Keynes — że moim celem jest tylko poprawianie szpetnego oblicza kapitalizmu. — Na podobnie szczere wyznanie stać nie każdego. Toteż plejada zachodnich ekonomistów, na wszelkie sposoby szminkująca kapitalizm, buduje swoje pseudonaukowe teorie w pełnym majestacie nauki. Starają się oni za wszelką cenę wpoić społeczeństwu, angażując do pomocy nawet przebrzmiałe koncepcje Tomasa z Akwinu, że współczesne formy ustrojowe, panujące na Zachodzie, mają charakter ponadklasowy.

Według Alvina Hansena — „organizowany kapitalizm” jest skuteczną alternatywą „totalnego socjalizmu”. Bliska analiza jego doktryny ukazuje rzeczywiste cele, przyswiewające jej autorowi; Hansen pragnie zachęcić kapitał do inicjatywy gospodarczej w drodze faktycznego obniżenia zarobków ludzi pracy.

K. Kaldor, A. Lerner i A. Bergson to szermierze teorii „welfare economics” (ekonomia dobrobytu), wprowadzającej w błąd masę pracującą. Dowodzą oni, jakoby można było tak zgrać prywatne poczynania gospodarcze, że bez naruszenia swobody tych inicjatyw zyska się efekt w postaci wzrostu powszechnego dobrobytu. *)

Wielce znamienne są wywody I. K. Galbraith'a, ekonomisty i socjologa, doradcy prezydenta Kennedy'ego, Otóż Galbraith — obiektywny, pozornie, dostrzegający bowiem słabe strony społeczeństwa USA — przypisuje zło nie kapitalizmowi jako takiemu lecz... biednemu kursowi gospodarki, nastawionej na zaspokajanie potrzeb ludzi o wysokich dochodach. Zdaniem Galbraith'a monopolom skutecznie mogą się jednak przeciwstawić „organizacje nabywców”. Na rynku pracy taką są ponoć związki zawodowe. Kłopoty społeczeństwa, rządzonego przez kapitalistów, sprowadza doradca prezydenta Stanów do problemu nadwyżek produkcyjnych, z którymi nie wiadomo co począć... A przecież mistrz Galbraith'a — T. Veblen, choć daleki od komunizmu, wyznał przed śmiercią, iż jego zdaniem tylko Rewolucja Październikowa może wybaczyć światu z impasu...

Oryginalnymi tezami wstąpił się inny ekonomista — E. D. Domar. Poszedł on drogą szukania „stopy wzrostu” amerykańskiej gospodarki, stopy gwarantującej harmonijny, stały rozwój. Domar wywiódł, że chodzi o zachowanie prawidłowych proporcji między popytem i podażą, co rzekomo w optymalnym stopniu osiągnęła USA przy 3-procentowym tempie rocznego wzrostu, przy czym dążyć się utrzymać pełne zatrudnienie. Jest to oczywiście nieprawda, bowiem tempo wzrostu bywa w Stanach Zjednoczonych nawet wyższe, natomiast 5-milionowa armia bezrobotnych nie maleje.

Lippmann, czołowy publicysta północnoamerykański, znany ze swej rzeczowości, w roku 1937, wystąpił z książką, przeciwstawiającą się ekonomicznym koncepcjom J. M. Keynesa. Stał się tym samym Lippmann prekursorem tzw. neoliberalizmu, zasadzającego się na tym, iż państwo nie powinno podejmować bezpośrednich inicjatyw gospodarczych

OD „NOWEGO ŁADU” DO „SPOŁECZEŃSTWA OBFITOŚCI”

Wojciech Sulewski

Wojciech Sulewski

Badania nad ruchem oporu w Polsce prowadzone przez szereg poważnych ośrodków naukowych na czele z Zakładem Historii Partii i Wojskowym Instytutem Historycznym posiadają już bardzo dużo poważnych osiągnięć. Jednak wiele problemów ruchu oporu, na który składały się przecież najróżniejsze formy antyhitlerowskiej działalności społeczeństwa, pozostaje nadal przysłowiową „ziemią nieznana”.

Takim właśnie problemem, któremu nie poświęcono dotąd u nas ani jednej obszerniejszej pracy, jest sprawa wpływu tajnego nauczania na zbrojny ruch oporu. Na podstawie dokumentów znajdujących się w Zakładzie Historii Partii oraz w Archiwum ZG ZNP można wykazać, że ruch partyzancki rozwijał się szczególnie aktywnie na terenach, gdzie duża ilość młodzieży ko rzystała z konspiracyjnego nauczania, które prowadziła Tajna Organizacja Nauczycielska. I tak w Kieleckiem, gdzie pod koniec 1942 r. walczyło około dziesięciu oddziałów partyzanckich GL i BCh oraz działały grupy dywersyjne AK i OW PPS korzystało w roku szkolnym 1942—1943 z tajnego nauczania na szczeblu gimnazjalno-licealnym 3.902 uczniów*). Uczestnicy tajnego nauczania ze Skarżyska stanowili trzon oddziału GL im. Ziemi Kieleckiej, który pod dowództwem Ignacego Robba „Narbutta” kontrolował na przełomie 1942—1943 r. obszar Gór Świętokrzyskich. Podobnie było i w innych słynnych oddziałach leśnych Kielecczyny: zgrupowaniu partyzanckim BCh „Ośki” (Jana Sołty) kompanii AK „Wybranieckich” por. Mariana Sołtyśiaka „Barabasa” czy partyzanckim batalionem AK por. „Ponurego” (Jana Piwnika).

Wpływ tajnego nauczania na rozwój walk partyzanckich widać również na Podlasiu, które stanowiło drugi ośrodek intensywnej walki zbrojnej z okupantem. Jeszcze na jesieni 1941 r. powstał pod Białą Podlaską partyzancki oddział Związek Walki Wyzwoleńczej założony przez b. „życiowca” Ładysława Buczyńskiego „Kazika Debiaka”. Żołnierzami oddziału byli początkowo uczestnicy kompletu tajnego nauczania, który Buczyński założył w okolicach Białej Podlaskiej.

Sprawozdania Tajnej Organizacji Nauczycielskiej z Podlasia za drugi kwartał 1944 r. podkreślają, że na kompletach panuje duch „zdecydowanie postępowy i demokratyczny”. Ich uczniowie i maturzyści żołnierze i oficerowie BCh. byli tymi, którzy wraz ze Stefanem Skoczylasem oparli się wcieleniu Batalionów Chłopskich do AK.

Tajne nauczanie, którym kierowali szczyrzy demokraci na czele z Czesławem Wycechem, nie tylko chroniło naród przed nieobliczalnym w skutkach regresem kulturalnym, który chcieli narzucić mu hitlerowcy, ale także wpływało bezpośrednio na aktywizację zbrojnego ruchu oporu. Nic więc dziwnego, że było bezwzględnie zwalczane przez tych, którzy za naczelne swoje zadanie widzieli jak pisał „Szaniec” „walkę z komuną i dywersją sowiecką”, do której polski obóz nacjonalistyczny zaliczył także liberalno-demokratyczną, uznającą rząd emigracyjny w Londynie Tajną Organizację Nauczycielską. Myśle, że warto wyciągnąć na światło dzienne i poddać badaniom metody walki reakcji polskiej z tajnym nauczaniem. Stanowią one bowiem uzupełnienie mordów dokonywanych na żołnierzach GL i AL, BCh. i formacji socjalistycznych, których wi-

*) Seweryn Zurawicki — „Nowe Drogi” 7/63.
*) Józef Zawadzki — „Współczesny kapitalizm w świetle Programu KPZR” — „Książka i Wiedza”, 1962.

Z nieznanych problemów ruchu oporu

downią była Kielecczyna i Miechowski, lasy, powiat krasnicki i Podlasie.

Agencja Informacyjna „Wies”, organ prasowy SL-ROCH, donosiła na wiosnę 1944 r. o mordach popełnionych przez oddział NSZ „Toma” na nauczycielach — działaczach tajnego nauczania w powiecie opoczyńskim. Został wtedy m. in. zamordowany członek PPR Wincenty Janiszewski nauczyciel ze wsi Władysławów. Na Podlasiu nauczycieli aktywistów TON maltretowała grupa NSZ Wolanina. W Warszawie eneszetowcy denuncjowali wobec gestapo nauczycieli, którzy odważyli się przyjmować na komplety dzieci żydowskie.

Inne bardziej elastyczne formy walki z tajnym nauczaniem stosowało konspiracyjne Stronnictwo Narodowe. Uruchomiło ono przede wszystkim szeroką kampanię prasową skierowaną przeciwko TON i kierowanej przez nią szkole podziemnej. Główną rolę w tej kampanii odgrywało czasopismo „Kultura Polska”, które redagowali wychowankowie profesora Ludwika Jaxy-Bykowskiego.

Już w pierwszym numerze pisma z 1943 r. „Kultura Polska” zarządała zastąpienia TON „jednolitą narodowo-chrześcijańską organizacją nauczycielską”. Miała ona odebrać wpływ na tajne nauczanie „garstce bezbożnych pedagogów”, którzy wszczepiają młodzieży „wrogą Polsce ideologię ateistyczno-materiaлистyczną” SN chciało podporządkować tajne nauczanie klerowi. Obskuranci z SN, atakując brutalnie tajne nauczanie, dali dowód, że gotowi są się zgodzić na katastrofalny w skutkach regres kulturalny społeczeństwa polskiego byle tylko szkoła podziemna nie radykalizowała nastrojów młodzieży i nie zachęcała jej do udziału w walce zbrojnej.

Formalny zwierzchnik szkolnictwa podziemnego Delegatura Rządu była z przyczyn zasadniczych sta-

nowczo przeciwna rozwijaniu walk partyzanckich, a zwłaszcza udziałowi w nich szerokich rzesz młodzieży. Dał temu wyraz jeszcze w marcu 1943 r. Delegat Rządu prof. Jan Piekarkiewicz ogłaszając specjalną odezwę, która nakazywała młodzieży „chronić swe siły”. Równocześnie każda lekcja historii czy języka polskiego na tajnych kompletach zawierała wbrew wytycznym programowym Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu, ogromny ładunek ideowy łamiący nakazy wypływające z reakcyjnej teorii „stania bronią u nogi”. Żadna szkoła w Polsce nie była nigdy taką entuzjastką tradycji powstańczych jak szkoła podziemna 1939—1945. I jest to zupełnie zrozumiałe.

Innym zupełnie nieznanym aspektem historii ruchu oporu w Polsce związanym ściśle z poruszoną wyżej problematyką jest udział i rola nauczycieli w walkach partyzanckich. Brak jest dotąd jakichś dokładniejszych danych liczbowych, niemniej można już dziś stwierdzić, że udział ten był bardzo poważny, a np. w BCh. odgrywał w niektórych regionach kraju rolę decydującą. Najlepszym przykładem będzie tu Zamojszczyzna, gdzie nauczyciele-oficerowie rezerwy byli organizatorami szerokiej akcji odwetowej BCh., która na przełomie 1942—1943 r. wpłynęła na zahamowanie podjętej przez hitlerowców akcji wysiedleńczo-kolonizacyjnej.

Niedostateczną jest rola nauczycieli wiejskich jako organizatorów i dowódców GL, organizacji „Świt” Milicji, RPPS i PAL. Jak dotąd istnieje tylko jedna praca na ten temat. Jest nią rys biograficzny poświęcony Julianowi Topolnickiemu „Motyce” nauczycielowi i pierwszemu szefowi sztabu Krakowskiego Obwodu GL. Napisał go Tadeusz Hołuj w zbiorowej pracy „Opowiemy wam jak walczyli” wydanej w 1962 r. przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Poruszone wyżej sprawy powinny być jak najszybciej znalezć się na warsztacie prac badawczych naszych historyków, a następnie zostać spopularyzowane szeroko w społeczeństwie jako nieodłączna część składowa jego edukacji historycznej.

*) Archiwum Zakładu Historii Partii. Materiały Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu. Sygn. 202/III t. 58 i 59 oraz 202/VII-2 i 202/VIII-2.

Wanda Chila

Mieszkam = nocuję?

W czterdziestu ośmiu hotelach robotniczych rozsianych po całej Wielkopolsce, ludzie zatrudniani w danej instytucji na pewien okres, ludzie nie mający własnego mieszkania — szukają swojego domu. Zobowiązana umową o pracę dyrekcja zapewnia im to miejsce, w przeważającej większości przypadków uważając, że wszystko jest w porządku, jeśli pracownik ma gdzie nocować. Ale czy mieszkać, to znaczy nocować?

Najprościej oczywiście byłoby synąć funduszami i samodzielnie mieszkanie zafundować wszystkim bez wyjątku pracownikom. Hotele robotnicze na pewno nie są idealnym rozwiązaniem problemu. Okazuje się jednak, że przy mądrym i ekonomicznym spojrzeniu na ich podstawową funkcję można uczynić z nich zupełnie znośną przystań życiową, gwarantującą spokój, wypoczynek, a nawet — kształtującą osobowość ich użytkowników.

Okazuje się, iż najlepiej radzi sobie u nas z prowadzeniem hoteli Związek Zawodowy Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Z czego to wynika? Otóż związek ten traktuje pomieszczenia hotelowe jako dobro trwałe, nie okresowe, rozumie opłacalność inwestowania w nie większych kwot pieniężnych, a także zapewniania im solidnego i fachowego kierownictwa. Związek ten nie ma na ogół kwater noclegowych, czyli przypadkowo, dorywczo, tu i ówdzie wynajmowanych pokoi, w których od czasu do czasu nocują coraz to inni ludzie. A w takich kwaterach właśnie nierzadko panoszy się brud, pijactwo i daleko idąca swoboda obyczajowa.

Wymienione powyżej cechy nie są zresztą „przypisane” wyłącznie do kwater tymczasowych. Z podobnymi spotkać się można w wielu hotelach — przeważnie takich, w których życie kształtuje się na zasadzie żywiołowości. Takie siedziby nie mają najczęściej samorządów, co motywuje się płynnością szeregów ich użytkowników. Nie mają również kierownika, ani nawet świetlicowego.

Hotele, czy kwatery — jakby ich nie nazwać — które służą wyłącznie noclegami, stanowią najczęściej niechlubną kartę — również współczesnych — kronik naszych związków zawodowych. Ale przecież te same kroniki — sprawozdania prezentują zgoła odmienne przykłady. Oto np. wspomniany już poprzednio Związek Budowlanych, który wysunął się na czoło wszystkich hotelowych gospodarzy, dzięki konkursowi „na najlepszy hotel”. Konkursowicze, którzy mobilizowali ostatnio całą swoją energię, pomysłowość i zasoby finansowe, mają już za sobą pierwsze pół roku zmagania o palmę pierwszeństwa i pierwszych laureatów. Nagrody zdobyli: Hotel PPB nr 2 przy Jugosłowiańskiej, PPBP nr 1 przy Palacza, PPB nr 3 przy Kościuszki, PRPBT przy Żmigrodzkiej oraz KPB w Kaliszu. Tytuł nagrodzonych — i tytuł chyba pracujących dobrze. Reszta...

Ale najpierw przyjrzyjmy się całemu hotelowemu dobytкови Budowlanych. Zarząd Okręgu prowadzi na terenie naszego województwa 29 hoteli, z tego 8 w samym Poznaniu. 14 spośród nich mieści się nadal w drewnianych barakach (nawet w Poznaniu mamy takich 5), w 22 brak stołówek, w 10 — świetlic, w 20 — bibliotek. Pełną kanalizacją i wszelkim wyposażeniem sanitarno-higienicznym (łazienki, ciepła woda bieżąca itp.) — dysponuje 17 hoteli.

Niepokojący, ale i wyjaśniający „uprzywilejowanie” wymienionej wyżej piątki najlepszych, jest fakt, że zaledwie 10 spośród „konkursowiczów” ma swojego etatowego opiekuna w postaci kierownika hotelu lub choćby świetlicowego. Reszta pozostaje pod wyłącznym nadzorem hotelowego dozorczy lub sprzątaczk. Dlatego właśnie poza 5 wyróżnionymi — niewiele jest do oglądania i chwalenia gdzie indziej Kierownik i dobrany przez niego samorząd mieszkańców muszą stanowić trzon, na którym dopiero oprzeć można pracę społeczną, kulturalną czy sportową. Bez takiej rady jedyną atrakcją będzie wódka, jedynymi czynami — rękoczyny, jedynym sportem — karty.

Ale przykład „laureatów”, którzy nie byli w sposób odmienny od pozostałych finansowani, świadczy o tym co można zrobić przy racjonalnym i ekonomicznym gospodarowaniu posiadanymi zasobami.

Dokończenie na str. 2

Piotr Marciniśzyn

Bitwa

szóstej czasu miejscowego. Ogień trwa jeszcze z piętnaście minut, a my wciąż nie mamy rozkazu do strzelania.

Wkrótce kanonada milknie. Tylko od czasu do czasu słychać pojedyncze wybuchy i wciąż zmagający się terkot karabinów maszynowych. Wszystko to dzieje się daleko w przodzie. Do nas dochodzą zza wznieśnienia tylko błyski ognia.

Dlaczego nie strzelamy? Celowniczy mojego działu, Piotr Woźniak, stoi z wlepionym okiem w okular celownika, popularnie zwanego wtedy z rosyjską „panoramą”. Ładowniczy, lwaskiewicz, na pewno po raz dziesiąty sprawdza zawartość prochu w łuskach. Wszyscy dawno na swoich miejscach.

Czyżby zrezygnowano z natarcia? Jednak nie. Przecież nadal na przednim skraju wre strzelanie. I to dość silne. Natomiast u nas, na stanowisku ogniowym baterii, panuje denerwująca cisza.

— Co to ma wszystko znaczyć? — pytamy chor. Pawłow-

Dokończenie na str. 2

Autor wspomnień frontowych, z których wybraliśmy fragment przedstawiający pierwszy dzień bitwy pod Lenino, był wówczas żołnierzem 6 baterii 1 pułku artylerii lekkiej, mającego wraz z radzieckim 308 pal-em wspierać natarcie 1 pułku piechoty dywizji kościuszkowskiej. Dziś pułkownik dyplomowany Piotr Marciniśzyn jest zastępcą redaktora naczelnego „Żołnierza Wolności”.

Podług zarządzonego dość wcześnie. Pogodne wieczorem niebo zasnuła gruba warstwa unoszącej się nad ziemią mgły. W ochronie wszystko było wilgotne, pokryte drobnymi kropkami rosy. Każdy z nas migmie nakładał płaszcz i wyskakiwał ze schronu na pole, by trochę rozprostować kości i rozgrzać się biegiem. Można było sobie na to pozwolić, gdyż panowała jeszcze ciemna noc. Maskowanie wręcz doskonałe. Niekiedy nawet próbowali zapalić papierosa, ale służbowy kanonier zapędzał pelaczy do schronu.

Na stanowisko ogniowe przybyło dwóch żołnierzy z plutonu gospodarczego, którzy przynieśli w termosach gorącą kawę. Chyba nigdy tak nie smakowała, jak wtedy na stanowisku ogniowym. Zresztą sam nie wiem dlaczego utkwiło mi to w pamięci...

Raptem rozlega się w pobliżu kanonada artyleryjska. Terkotą karabinów maszynowych. Jest kilka minut po godzinie

Baszkiria – kraj wielkiej chemii

Kilkadziesiąt kilometrów za Ufą nagle skończyła się asfaltowa droga. Mój przewodnik zaklął cicho, nie wiem nawet, czy po baszkirsku, czy po tatarsku, jako że w jednym i w drugim języku wysławiał się równie biegle, a ja i tak niczego nie rozumiałem. Dopiero gdy przeszedł na rosyjski wyjaśniło się, że skręciliśmy nie w tę stronę, co trzeba i zamiast na autostradę, wiedząc do miast Saławat, ugrzęźliśmy na lokalnej drodze prowadzącej na jakąś budowę.

Dzięki temu przypadkowi miałem jednak okazję „poza planem” przekonać się, że nie ma przesady w określeniu Baszkirii — Kraina Wielkiej Chemii.

Budowa, jak budowa. Kilkaset pracowników, koparki, spychacze, transportery. Trochę dwupiętrowych domków — zaczątek przyszłego osiedla i miasta.

Pobliska miejscowość nazywa się Strielietomak. Jest tam fabryka sody kaustycznej i cementownia. Tutaj, prawie w szczerym polu, wyrasta kolejny kombinat, w którym z baszkirskiej ropy i gazu ziemnego chemicy „wyczarują” wkrótce kolejne miliony ton najrozmaitszych wyrobów.

Obok tego, oczywiście, wyróżnia miasto. Takie, jak potem zwiędziały przeze mnie Saławat, jak już istniejące Izimbi, Oktibrskij, czy Kumertau — miasta — które ropy i chemii zawdzięczają swoje powstanie i rozwój.

Miara wielkości tego nowego w Baszkirii przemysłu mogą być choć

by liczby mówiące o zakładzie w Saławat.

10 tysięcy ludzi załogi — 500 hektarów powierzchni — 7 milionów ton ropy przerabianej w ciągu roku — 42 wydzielone produkcyjne, dwukrotny wzrost produkcji w nadchodzącym pięcioleciu.

A zaczęło się wszystko w 1948 r. Ekonomisci obliczyli wówczas, że bardziej opłaci się baszkirską ropy przerabiać na miejscu i wywozić stąd gotowe produkty chemiczne, niż transportować cysternami miliony ton „płynnego złota”. Co

KORESPONDENCJA WŁASNA Z ZSRR

prawda w tym czasie nie było jeszcze w Kraju Rad rozwiniętego, jak obecnie, systemu podziemnych rurociągów. Nikomu nie śniło się wówczas nie tylko o budowie największego systemu podziemnych przewodów „Przyjaźń”, ale i o znacznie krótszych magistralach mówiono w formie dyskusyjnej.

A tymczasem w Baszkirii odkrywano coraz to nowe złoża ropy i gazu. Jak się to potocznie mówi „na ich bazie” zlokalizowano zakłady przetwórcze, rafinerie, kombinaty. Pod połową Baszkirii jest przecież ropa!

W 1954 roku ruszył pierwszy wydział — fenoloacetonu w Saławat. Miasto, wyrastające — jak teraz inne — na pustkowiu liczyło wówczas „aż” 4 tysiące ludności. Dziś mieszka tam 80 tys. osób. Przeciętą na wieku wynosi niewiele ponad 23 lata. Największy problem gospodar czy Saławatu, to wciąż za mała

ilość miejsc w żłobkach i przedszkolach. Niewiele w tym mieście mieszka starych babci czy ciotek, które mogłyby zająć się najmłodszymi obywatelami miasta, gdy rodzice pracują. Na równych więc prawach z budową następnych wydziałów petrochemicznego kombinatu wznosi się nowe żłobki, przedszkola i szkoły.

Kombinat, mimo że w tej chwili jest to gigant, nawet na radziecką skalę, wciąż się rozrasta. Na przykład wytwarzane tutaj 24 tysiące ton polietylenu rocznie, to dużo — ale wciąż mało, aby pokryć potrzeby szybko rozwijającej się gospodarki. Produkcja tego sztucznego tworzywa wzrosła niebawem trzykrotnie. Więcej także będzie kaprolaktanu, paliw, więcej sztucznych nawozów, syntetycznego spirytusu, kauczuku i barwników.

W całym radzieckim przemyśle chemicznym zmiany postępują obecnie niezwykle szybko. W tej chwili

w ZSRR buduje się ponad 600 obiektów przemysłowych, uznanych przez kierownictwo partii i rządu za szczególnie ważne dla narodowej gospodarki. Sto wśród nich to właśnie zakłady chemiczne.

W tym roku ZSRR importować będzie około 9 milionów ton zboża. Między innymi dlatego, że wciąż zbyt mało stosuje się sztucznych nawozów, zwiększających urodzaje. W tym roku wyprodukuje się ich ok. 20 milionów ton — to o wiele za mało. Kierownictwo partii i rządu zwróciło się więc z apelem do pracowników przemysłu chemicznego, aby jak najszybciej podnieśli produkcję i pomogli w pomnożeniu pól. Według obecnie opracowywanych planów w 1965 r. radzieckie rolnictwo otrzyma ok. 35 milionów ton sztucznych nawozów — w pięć lat później produkcja zostanie podniesiona do co najmniej 100 mln. ton.

Dlatego także Baszkiria, rejon do niedawna prawie wyłącznie rolniczy, przeżywa obecnie okres „chemicznej rewolucji”.

W tym roku — w porównaniu z poprzednim — cały przemysł Baszkirii powiększy produkcję o prawie 17 procent. Ale chemia ma wytworzyć o 42 procent więcej wyrobów i surowców, niż w roku 1962.

To Wydawnictwo było bardzo potrzebne, właśnie takie, przeznaczone dla szczególnego popularyzowania spraw morskich w naszym społeczeństwie, co tu gadać, ciągle jeszcze zbyt siedziałym na łądzie mimo ogromnego szmatu bałtyckiego wybrzeża. Jak zaś Wydawnictwo Morskie w Gdyni pracuje, jaki zakres spraw pragnie objąć swoim profilem, ukazać może choćby przegląd ostatnich nowości.

Naprzód nieco pozycji z dziedziny fachowej, opracowanej wszakże w sposób popularny. Przemysław Smolarek przygotował album pt. „Dawne żaglowce”. Jest to bogato ilustrowany i ciekawie skomentowany przegląd statków żaglowych od najdawniejszych łodzi poczynając, aż po współczesne statki szkoleniowe w rodzaju naszego „Daru Pomorza”. Indeksy, literatura, opisy dawnych słowni uzupełniają interesującą tę książkę. Jednocześnie ukazała się w druku nowa praca poznańskiego marynisty Jerzego Perka „Od Wielkiej Karaweli do 19-tysięczników”, dobrze zestawiony wybór szkiców z dziejów morskich Gdańska. Znajdziemy tutaj i dzieje gdańskich żeglarzy na wszelkich morzach i tradycje obronne Gdańska przez ciąg dziejów i barwnie opowiedzianą historię okrętów związanych losami z Gdańskiem i wreszcie skok we współczesność, omówienie gdańskiego przemysłu stoczniowego w jego imponującym rozwoju. Perlek nie tylko ma w małym palcu wszystko, co wiąże się z morzem i ze statkami, ale umie o tym pisać w sposób pasjonujący.

Szereg książek gdyńskiej oficyny nawraca do historii, tak dawnej, jak i tej najnowszej. Lech Bądkowski w dłuższym opowiadaniu „Okno za okno” zajmuje się walkami Słowian z Duńczykami w XII wieku, na tym tle rozsnawiając romantyczną opowieść o rywalizacji dwóch rycerzy z wrogich sobie obozów o rękę Pięknej Jarsli, branki z Pomorza. Jerzy Kolendo natomiast podjął ambitną próbę ukazania w zbeletryzowanej relacji niektórych fragmentów plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach w 1920 r. Na pewno niektóre szczegóły można

Eugeniusz Paukszt

Blżej morza

by kwestionować, jak też odnieść i pewne uproszczenia w ujmowaniu całości zagadnienia plebiscytowego. Jednak praca J. Kolendy, właśnie w tej zbeletryzowanej formie, stanowi wartościowy przyczynek popularzatorski do historii tamtych trudnych dni 1920 roku.

Inny typ beletrystyki reprezentuje tom Antoniego Kołodzieja „Ich trzydziestu szczęściu”. Autor pozostaje po dziś w czynnej służbie na morzu, a w opowiadaniach swych, urzekających autentycznością, usiłuje odtworzyć atmosferę na polskich statkach handlowych w latach 1928—1945. Zmysł obserwacji, świetna pamięć, plus gruntowne obeznanie ze sprawami morza i jego ludzi sprawiają, że teksty Kołodzieja czyta się z dużym zainteresowaniem.

Wybrzeże ma szczęście do dziennikarzy, śmiało i trwale przechodzących do literatury. Tak jest ze Stanisławem Goszczynym i jego nowym tomem „Między ogniem a wodą”, będącym dramatyczną opowieścią o trudnym rejsie jednego z polskich statków, gdy w ładowniach zajął się ogniem przewożony tam węgiel. Autor stopniuje napięcie, kulminuje dramat, a że przy tym trafnie kreśli psychologiczny rysunek występujących postaci, potrafi w pełni ująć czytelnika i zaabsorbować jego wyobraźnię. A to mimo pewnych braków wzmianki pisarskiego, znaczy już bardzo wiele.

Nie brak i książek dla młodzieży. Irena Przewłocka wydała tom miłych opowiadań pt. „Szlak wielkiej przygody”. Teksty są żywe, momentami tylko raz zbyt widoczna dydaktyka. Ale młodzież wybaczy to autorce w zamian za dostarczony ładunek wielkich emocji.

Jako ostatnia pozycja, ślicznie wydany tom poetycki M. H. Szpyrkówny „Szytychy gdańskie”, pełne ukończenia miasta i ludzi, na dodatek dobrze zilustrowane przez Macieja Kilarzkiego.

ziemi. Taka lawina ognia musi zniszczyć nieprzyjaciela, chociażby był ukryty pod ziemią.

Juz przeszło pół godziny irwa kanonada, a ogień wciąż nie słabnie. Dookoła jeden po drugim błyskają ogniste języki, wyrzucające z lut seki kilogramów meau na głowy hilerowców. Nasi amunicyjni nie mogą nadążyć z noszeniem z dość odległego schronu pocisków i ich przysyłaniem do strzelania. Chociaż poranek nie jest najcieplejszy, wszystkim pot ciurkiem zalewa oczy.

Cary horyzont osłonięty dymem. Przed sobą widzimy tylko czarną ścianę, przecinaną co chwila pomarańczowymi płomieniami wybuchów. A działa naszych radzieckich sąsiadów wciąż wałęsa i wałęsa. My również nie pozostajemy w tyle. Dowódcy plutonów muszą pilnować, by nie strzelać za dużo pocisków. Bo co tu dużo gadać — każdy z nas chciał postać wrogowi jak najwięcej gorącej stali. Każdy miał z Niemcami wtedy jakieś porachunki. Chociażby za tę kilkuletnią tutażkę z dala od kraju, od domu, od rodziny.

Podczas przygotowania artyleryjskiego ataku wciąż przechodzą obok pododdziały piechoty. I o podążają drugie i trzecie rzuty pułków, by po przełamaniu pierwszej pozycji przyjąć, zgodnie z planem natarcia, w sukurs pierwszorzułowym batalionom. Chłopcy widząc taką potęgę ognia, spadają na broniących się hilerowców, idą dziać, pewni siebie. Na pewno nie zdawali sobie sprawy ile to wysiłku i krwi będzie kosztować zdobycie każdej piędy ziemi białoruskiej, położonej za tą błotnistą, waziuką Miereją!

Na chwilę artyleria milknie. Rozlegają się tylko pojedyncze wyrzuty. Natomiast słychać coraz gęstszy ogień broni ręcznej i maszynowej na przednim skraju. Pada komenda zmieniać nastawy na bębnoch odległości. Oznacza to, że przechodzimy do wsparcia wałem ogniowym. A więc piechota ruszyła do przodu, do ataku!

PIOTR MARCINISZYN

*) Pod Lenino pułki piechoty były ugrupowane w trzy rzuty.

Mieszkam = nocuję?

Dokończenie ze str. 1

Można mieć budynki świeżo otykowane, a pokoje wymalowane, można na korytarzach rozciągnąć chodniki, ustawiać stojaki z kwiatami i... popielniczki, można pościelić zmieniać co 2 tygodnie, a gruntowne sprzątanie urządzać raz w miesiącu. Można na ścianach mieć reprodukcje — zamiast wyciętych z gazet „gwiazd”.

I można również — jak przy Jugosłowiańskiej — własnym sumptem zbudować dwa boiska, założyć klomby z kwiatami, postawić ogrodzenie. Hotel przy Dolnej Wildzie ma pianino i projektor filmowy, mała, radiofonizowana scena i 3 zespoły artystyczne, przy Pałacu — wszystkie pokoje są radiofonizowane, przy Kościuszki — mają dobre zaopatrzone biblioteki, przy Żmigrodzkiej klub — kawiarenkę. Przy takim zabezpieczeniu „bazy materialnej” można również (ale tylko pod tym warunkiem, że ktoś tym pokieruje!) rozwijać dobrą działalność k-o. Wszystkie wymienione hotele współpracują więc z TWP, które urzędują tu ciągle cykle odczytów, przy Jugosłowiańskiej jest Uniwersytet Powszechny, przy Dolnej Wildzie organizuje się konkursy czytelnicze, przy Pałacu — konkurs podnoszący kwalifikacje pod nazwą „Jestem dobrym fachowcem”, przy Kościuszki dobrą sławę zdobyły kółka zainteresowań np. numizmatyków, miłośników historii. We wszystkich prowadzi się stałą rekrutację na kursy dokształcające; większość robotników ukończyła już pierwsze klasy szkoły podstawowej; obecnie trwa rekrutacja dla tych, którzy chcą ją ukończyć.

Ale i u Budowlanych są mniej udane „dzieci”, podlegające np. PPB w Ostrowie, PBT w Środzie (siedziba w Kostrzynie) czy KPB w Kaliszu (siedziba w Turku). Skarżą się one nadal na brak podstawowych urządzeń sanitarnych, kulturalnych czy sportowych. Przytoczmy jeszcze urywek sprawozdania ostatniego z wymienionych hoteli: „Gabinet lekarski znajduje się w świetlicy, a przeznaczony jest obecnie na magazyn szkła”. Dodajmy, że i winnego brak. Kierownika.

Z omówionych powyżej przykładów płynie — jak nam się wydaje — jeden podstawowy wniosek: wszystkie hotele robotnicze powinny mieć bezwzględnie swojego etatowego kierownika, który z „dachu nad głową” może uczynić dom. Sami użytkownicy, zajęci pracą zawodową, nawet pełni najlepszych chęci do czynów i inicjatyw społecznych, nie znajdują czasu ani chęci na szukanie dróg dla właściwego użytkowania swej dobrej woli. Natomiast pod kierunkiem kogoś, kto z z w o d u przeznaczony jest do roli organizatora — pomoc mogą wiele. Nie tylko sobie. Socjologicznie udowodniają bowiem nie od dzisiaj, że mieszkanie jest podstawowym czynnikiem, niezbędnym dla regeneracji sił fizycznych i umysłowych człowieka pracującego.

WANDA CHILA

Bitwa

Dokończenie ze str. 1

skiego, który urządził sobie schron naprzeciwko naszego plutonu. Ziuryłowany chyba też tym czekaniem, odpowiada żeby pilnować swoich dział, więcej myśleć i bez gadania czekać na komendę.

Czekamy!

Później sprawa się wyjaśniła. W tym czasie 1 batalion 1 pułku piechoty, wspierany ogniem 1 dywizjonu 1 pal-u, prowadził rozpoznanie walkę. Stąd słychać było te odgłosy strzelaniny.

Mgła już całkowicie opadła i nad naszymi głowami znów usłyszeliśmy znajome brzęczenie „ramy”.

A może rzeczywiście natarcie przełożono na inny termin? Nagle z prawej strony, z przeraźliwym rykiem poleciały jedna za drugą kilka ognistych serii słynnych „Katiusz”. Natychmiast zawróciłyśmy im potężne salwy ciężkiej artylerii radzieckiej. Jednocześnie chor. Pawłowski podaje przez telefon komendę „Ognia!”.

Dowódcy plutonów powtarzają tę komendę i po ulamku sekundy nasze haubice bluznęły ogniem.

Wreszcie rozpoczęło się!

Chłopaki uwijają się przy działach, jak w ukropie. Zwykle winny jak żywe srebro Zachniewicz nie może nadążyć z wręczaniem lwaskiewiczowi kolejnych pocisków. Wóznik z zegarmistrzowską dokładnością zgrywa przyrządy celownicze...

— Ognia! — ledwie przedziere się raz po raz ludzki głos, natychmiast tłumiony piekielnym hukem.

— Agoń, Agoń, Agoń! — powtarza się dookoła w radzieckich bateriach.

Po pierwszej nawale ogniowej, wykonywanej ogniem szybkim, patrząc na zegarek: jest godzina 9.25. Ziemia aż kołysze się od wybuchów artyleryjskich. Istne piekło na

wych żywych. Jest to wszakże jeden z tych zakorzenionych w Polsce przesądów, których nikt nie tyka. A przecież unicestwianie on humanitarny zamyśł państwa, aby użyć materialnie rodzinom, które tracą kogoś bliskiego. Pół miliarda państwowych złotych (tyle wypłaca się rocznie rodzinom zmarłym z funduszu publicznych — przyp. lek.) lokuje się w podziemne budownictwo i kupno tytułu własności do cementarnej ziemi. A ile prywatnych złotych?

PODRĘCZNIK I WYCHOWANIE

W tym samym wydaniu „Polityki Mieczysława Okolska” zajmuje się sprawą podręczników szkolnych, które mają być przygotowane w związku z reformą nauczania. Z niepokojem stwierdza, że ci, którzy piszą podręczniki (przeważnie samotnie) nie mają sprzecywanego zdania co do zakresu i funkcji, jakie powinien spełniać podręcznik. A rola podręcznika jest bardzo rozległa — służyć powinien i nauczaniu i wychowywaniu.

„Poza wychowaniem ideowym i wyrobieniem określonych postaw społecznych — pisze autorka — zadania szkolne powinno układać się pod kątem zwiększenia inicjatywy ucznia, umiejętności samodzielnego rozumowania (...) Ustalenie proporcji między wiedzą „do zapamiętania”, a wiedzą ćwiczącą w myśleniu,

— stwierdza prof. Chałasiński — należało do nowej warstwy kulturalnej, nie na skutek umysłowego charakteru swoich zajęć zawodowych, ale dzięki ogólnej swojej kulturze oraz wspólnej kulturze całego społeczeństwa, w której uczestniczą (...) Proces ten dokonuje się na gruncie industrializacji kraju, masowych przegrupowań ludnościowych i urbanizacji.”

DYSKUSJA O KRYTYCE

W dyskusji o krytyce artystycznej prowadzonej na łamach prawie wszystkich czasopism kulturalnych i społecznych zabrał głos w „Życiu Literackim” poznański pisarz Bogusław Kogut. Autor jest zdania, że:

„Krytyka integralnie związana z literaturą musi być pryncypialna, rzetelna. Można iść dalej — pisać — można powiedzieć, że w naszych dynamicznych czasach w okresie ostrej walki systemów i światopoglądów, która to walka nie pozostaje bez wpływu na rozwój ideologii, także ideologii komunistycznej, wpływu nie zawsze i niekoniecznie jednoznacznego i pozytywnego, wymagania wobec krytyki bardziej może niż wobec całej reszty literatury — rosną. Pryncypialność i rzetelność jest tutaj warunkiem podstawowym — poniechanie jej lub ograniczenie na rzecz subiektywnego, nie tylko poglądu i gustu, zawsze może przynieść szkodę, a rozmiary jej zależeć będą od wielu okoliczności.”

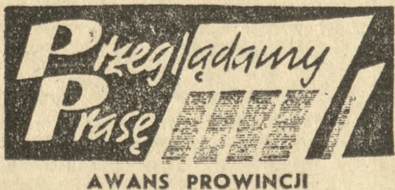
W tym samym wydaniu tegoż tygodnika Maria Jarochońska omawia książkę Koguta pt. „Kłusownicy i naganianie”.

NAJTAŃSZY JEST ŻYC

„Życie nie jest tanie. Ale śmierć droższa. Przeciętny człowiek nigdy nie miewa w życiu tak drogiego dnia, jak po śmierci. Jego pogrzeb jest stokrotnie droższy niż dzień życia.”

Tak zaczyna swój artykuł pt. „Najtańszy jest życie” Jerzy Poznański na łamach „Polityki”, gdzie porusza temat zyczący uważany za drażliwy. Cytując szczegółowo przykłady, autor stwierdza, że średnia cena pogrzebu wynosi od 5—7 tys. zł, chociaż można przyzwolony pogrzeb urządzić też za 2 tysiące złotych.

„Ludzie pragną w dniu pogrzebu — pisze autor — uczcić pamięć swojego zmarłego. To jest piękny obyczaj. Gorzej, że istnieje moda, iż w takiej sytuacji liczenie się z kosztami, zwracanie uwagi na wydatki, jest nieprzyzwoitością wobec zmarłego i wstydem przed znajomymi. Przesał powodem poparcie społeczne ku wystawnym pogrzebom, irracjonalne mody szukania „lepszych” cmentarzy i murowania nieboszczykom pomieszczeń pod i nad ziemią. Czczenie pamięci zmarłych nie musi dokonywać się kosztem podstawowych potrzeb życio-



Prof. dr Józef Chałasiński w rozmowie zamieszczonej w „Kulturze” przedstawia wyniki swoich badań na temat społeczno-kulturalnego awansu prowincji. Profesor, który — jak wiadomo — jest autorem wydanej przed wojną pracy „Młode pokolenie chłopów”, pracuje obecnie nad pamiętnikami powojennego pokolenia. Zdaniem profesora: „Miara rewolucji społeczno-kulturalnej, jaka się już dokonała w naszym kraju, jaka wciąż trwa i pogłębia się, są zmiany poza stolicą, a nie w samej stolicy, traktowanej w oderwaniu od reszty kraju.”

Izolacja od ogólnonarodowego nurtu kultury, ciężająca na wsi przedwojennej, należy do przeszłości. Kultura narodo- wa jest dzisiaj klimatem życia codziennego wszystkich ludzi. „Pielegniarka i księgowa, maszynistka i portier, kosmetyczka i robotnik, inżynier i pisarz, rolnik i urzędnik pocztowy, górnik i pracownik gminnej spółdzielni

powinno również być przedmiotem badań. Nie załatwi tego samotnie pracujący autor.”

ZMARTWIENIA Z ORTOGRAFIA

Kisiel w „Tygodniku Powszechnym” ciska gromy na językoznawców, którzy niedawno ogłosili zapowiedź zmian w ortografii. Opiera się przy tym na zdaniu Wodnika, który w „Kurierze Polskim” niedawno pisał na ten temat: „Obecny moment dla dokonywania takich zmian został wybrany jak najfatalniejszy. Jesteśmy w okresie trudności państwowych, zmagamy się ze sprawą podręczników, które jedna klasa przekazuje następnej. A te przekazywane podręczniki tracą swoją wartość wraz z nowym wydaniem Komisji Kultury Języka PAN. Poza tym znajdujemy się na półmetku druku słownika języka polskiego i mamy już za sobą dwa tomy nowej wielkiej encyklopedii. I tutaj przychodzi zmiana (...). Siegając po książki nawet niedawno wydane: po Sienkiewicza, Mickiewicza czy Prusa, nie można ich zdać, pisowni tych wydań brać za wzór. To samo dotyczy pisarzy najbardziej współczesnych.”

Jakże się więc dziwić Kisielowi, który z tego powodu — jak pisze — znajduje się „na granicy wściekłości”?

LEKTOR